

Brodski — magia osobowości

Żywy koncert to nie tylko lepsza lub gorsza prezentacja muzyki. Co prawda do filharmonii chodzimy głównie po to, by słuchać, ale nasze przeżycia są wzbogacane również o wrażenia wizualne. Sposób bycia artysty na estradzie, ekspresja jego ruchów, mimika, są dodatkową informacją o wrażliwości artysty. Czasem to pomaga słuchaczom, czasem przeszkadza. Jeżeli artysta-wykonawca straci zupełnie kontrolę nad swoją kinetyką, może stać się wizualnie zabawny i wtedy lepiej zamknąć oczy, zagłębiając się w samą muzykę. Są jednak artyści, na których nie sposób nie patrzeć, którzy elektryzują nas już samym wejściem na estradę. Dzieje sztuki interpretacji muzycznej znają wiele takich osobowości. Należał do nich Ignacy Jan Paderewski, który podobno emanował wręcz jakimś fluidem. Należy do nich bez wątpienia, dobrze już znany białostoczanom, młody radziecki skrzypek WADIM BRODSKI.

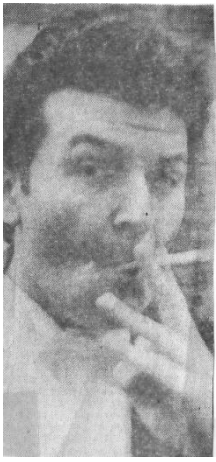
Kiedy Brodski wyłania się zza kulis, kiedy z elegancką nonszalancją przygotowuje się do zagrania pierwszego akordu, pierwszej frazy, z jego ruchów możemy już wywnioskować, jaka to będzie gra. Przede wszystkim: absolutna swoboda, naturalna pewność siebie, radosny uśmiech w stronę orkiestry i publiczności, są obietnicą ogromnej przyjemności muzykowania. Zanim zaczniemy słuchać, już się w wspólnie cieszymy, jesteśmy razem. Nie ma obcego artysty, który rzuca nas na kolana wobec swego kunsztu, jest wspaniały artysta, a my jesteśmy również tą jego wspaniałością opromienieni. Wadim jest nasz, a jego muzyka staje się naszą, trafia do nas bez żadnych barier.

Wadim Brodski w okresie ostatniego roku wystąpił w Białymstoku trzykrotnie, a w sezonie bieżącym to już drugi jego koncert. Po niezapomnianej, błyskotliwej interpretacji karkołomnego *Koncertu D-dur* Paganiniego, tym razem grał diametralnie różną muzykę — *Koncert d-moll* fińskiego kompozytora, ostatniego romantyka, Jana Sibeliusa. Interpretacje Brodskiego wprowadzają, recenzenta w pewne zakłopotanie. Jakże bowiem można je opisać i ocenić, skoro jego ujęcie utworu staje się naszym i nie sposób osiągnąć choć nieco niezbędnego dystansu; skoro każdą frazę, każdą kulminację, każdy niuans odnajdujemy w sobie jako naszą interpretację, nasz ideał. Zresztą nasz idealny kształt koncertu Paganiniego czy Sibeliusa być może wcale nie jest naszym; może to właśnie owa naturalna siła osobowości artysty narzuca nam — w wypadku Brodskiego stosownie powiedzieć: nieodparcie proponuje — jego własną wizję jako naszą, wspólną. Słowa wielkiego skrzypka i pedagoga radzieckiego, Dawida Ojstracha: „*To błyskotliwy skrzypek, który dzięki swej wirtuozowskiej technice doskonale podkreśla otwartość idei i muzycznych obrazów*” — potwierdzają nasze spostrzeżenie dotyczące spójności propozycji Wadima Brodskiego z oczekiwaniami słuchaczy.

Mówienie o szczegółach wykonania, czy sprawach technicznych byłoby pozbawione sensu; Brodski posługuje się techniką "na pełnym luzie", a że ma ją opanowaną w stopniu najwyższym, dowiódł na poprzednim swym koncercie, grając Paganiniego i (na bis) *Wariacje na temat pieśni „Ostatnia róża lata”* Ernsta. Owacyjnie przyjmowany i tym razem nie chcąc, jak sądzę, niweczyć specyficznego sibeliusowskiego klimatu, zagrał (znowu na bis) z tych *Wariacji* jedynie temat. Było to żartobliwe przypomnienie: „*Wirtuozowską techniką już przecież wykazałem się, pozwólcmy przemówić samej muzyce*”.

Drugim bohaterem ostatniego koncertu była *Symfonia fantastyczna* Hectora Berlioz. O ile muzyka Sibeliusa





właściwie zamyka romantyczną symfonię, to sławna kompozycja francuskiego twórcy — ją otwiera. Czyni to, dodajmy, z wielkim trzaskiem, hucznie i malowniczo. Berlioz jest odkrywcą i pierwszym prawdziwym mistrzem orkiestry. Toteż porwać się na *Symfonię fantastyczną* jest dużym aktem odwagi. Z tych blisko godzinnych zapasów, orkiestra Filharmonii Białostockiej, prowadzona przez dyr. Tadeusza Chachaja od marzeń i namiętności, przez balowe sale, pola, aż na szafot, nie dała się jednak zgilotynować ostrym rygorom partytury. Co prawda *Marzenia* nie były zbyt pociągające i ulotne, a *Namiętnościom* nie dostawało przekonującego wyartykułowania, to jednak otrzymaliśmy przekaz dający wystarczająco wyczerpującą informację o walorach tej pierwszej w historii muzyki symfonii programowej.

Białostockich filharmoników na pewno stać na lepsze wykonanie. Bardzo dobra grupa instrumentów dętych (zwłaszcza drewnianych), przepięknie brzmiący obój w dialogu z rózkiem w scenie pastoralnej to pułap, do którego winien równać kwintet. Jego wzmocniony skład (dziewięć wiolonczel!) — oby tylko nie okazjonalnie — nie jest ciągle jeszcze na tyle skonsolidowany, by nie rozsypywać się w miejscach o zmiennych tempach, czy trudnych technicznie figuracjach. Warto chyba jednak więcej popracować, bo zbyt wielu jest w tej orkiestrze dobrych i bardzo dobrych muzyków i zbyt wielki to kapitał młodości, ambicji i możliwości, by satysfakcjonował nas wszystkich obecny wypadkowy poziom gry całego zespołu.

STANISŁAW OŁĘDZKI

Fot. MARIUSZ OLKOWSKI